

Krzysztof Osínski

**Antoni Tokarczuk,
*Mój czas. Flirty z historią***

Wydawnictwo Instytutu

Pamięci Narodowej

Warszawa 2017, ss. 422

Wspomnienia prominentnego
opozycjonisty z Bydgoszczy

Nakładem Instytutu Pamięci Narodowej w 2017 r. ukazały się wspomnienia Antoniego Tokarczuka. Rzecz to godna odnotowania, ponieważ autor odegrał niebagatelną rolę w historii nie tylko regionu kujawsko-pomorskiego, ale również całego kraju. Dla przypomnienia odnotować można, że był on zarówno jednym z inicjatorów powstania NSZZ „Solidarność” w Bydgoszczy, a później jego wiceprzewodniczącym (zarówno w okresie funkcjonowania Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego, jak i późniejszego Zarządu Regionu), uczestnikiem licznych strajków i negocjacji z władzami komunistycznymi zarówno na szczeblu regionalnym, jak i centralnym, uczestnikiem regionalnego I Walnego Zebrania Delegatów oraz ogólnopolskiego I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”, podczas którego został wybrany do władz krajowych związku, aby pełnić w nich funkcję sekretarza Komisji Krajowej. W stanie wojennym był internowany w Strzebielinku i Białołęce. Po wyjściu na wolność włączył się w działalność konspiracyjną, będąc jednym z liderów jej bydgoskich struktur. W wyborach z czerwca 1989 r. został senatorem, później był jeszcze

wojewodą, radnym, posłem, przedsiębiorcą, a na koniec ministrem środowiska w rządzie Jerzego Buzka.

Wszystkie wymienione funkcje i zajęcia powodują, że nawet osoba nie mająca nigdy styczności z Antonim Tokarczukiem (zamieszkująca na przykład w innym niż bydgoski regionie kraju), powinna zainteresować się jego wspomnieniami. Mamy bowiem do czynienia z dziełem opowiadającym o ważnym okresie najnowszej historii Polski, pisanym w sposób, który znacznie poszerza naszą wiedzę na ten temat. Co więcej, książka pisana jest „lekkim piórem”, autor ma talent pisarski, co powoduje, że lektura jest naprawdę miła, lekka i przyjemna. Pomimo znacznej objętości (ponad 420 stron drobnego druku plus wkładka zdjęciowa), książkę czyta się naprawdę szybko, nie można wręcz się od niej oderwać.

Co zatem powoduje, że książka jest tak wciągająca? Przede wszystkim sposób prowadzenia przez autora narracji. Opowiada on o ważnych dla siebie, ale również dla kraju, wydarzeniach w sposób niezwykle sugestywny, pełen dystansu i humoru. Szczególnie ten ostatni czynnik jest godzien podkreślenia, bowiem jaki inny ważny polityk byłby w stanie stwierdzić, że początki jego kariery związane były z pasaniem krów w gospodarstwie rodziców?

Czy można było przewidzieć, że znajdę się w samym wirze historycznych wydarzeń? Że ktoś taki jak Lech Wałęsa będzie moim bezpośrednim przełożonym? A wielkich Polaków – świętego Jana Pawła II i błogosławionego ks. Jerzego Popiełuszkę – będę znał nie tylko ze zdjęć? Moim pierwszym zawodowym zajęciem było przecież pasienie krów, które zazwyczaj nie prowadzi do stanowiska ministra polskiego rządu. Pochodzenie społeczne, co prawda, nie stanowiło dla mnie przeszkody w robieniu kariery w ustroju zapowiadanego powszechnego dobrobytu, który otrzymaliśmy w prezencie od bolszewickich przyjaciół zaledwie siedem lat przed moim urodzeniem. Śladów błękitnej krwi w moich żyłach trudno byłoby się doszukać. A moi przodkowie – wolni chłopi nieznaną pańszczyzną – z żadną burżuazją, tępioną przez nowych władców Polski, powiązań też nie mieli. Pochodzenie chłopskie nie wzbudzało oficjalnej niechęci ludowej władzy. Przedwojenna burżuazyjna władza została przecież zastąpiona władzą robotniczo-chłopską. Nie dopowiadano jednak głośno tego, że socjalistyczny chłop to miał być chłop bez ziemi, własnej ziemi. Postępowy chłop powinien oddać ziemię do kołchozu (s. 13).

Patrząc na obszernie wspomnienia Antoniego Tokarczuka, trudno nie pozwolić sobie na jedną uwagę ogólną. Mianowicie zastanawia, dlaczego wspomnień tego typu jest tak mało. Jeśli przyjmiemy, że przed wprowadzeniem stanu wojennego do „Solidarności” należało prawie 10 milionów osób, wydawać by się mogło, że po latach nastąpi prawdziwy wysyp memuarów ze szczegółami opowiadających o kulisach powstawania i funkcjonowania związku, walki z komunizmem i dochodzenia do demokratycznych przemian w kraju. Tymczasem publikacji tego typu jest bardzo mało, a jeśli chodzi o region bydgoski, praktycznie nie ma ich w ogóle, jeśli

nie liczyć kilkustronicowych, lakonicznych tekstów innych osób zdeponowanych w zbiorach prywatnych.

Biorąc powyższe pod uwagę tym większe uznanie należy się Antoniemu Tokarczukowi za to, że zechciał spisać swoje wspomnienia. Na ich kartach odnaleźć można wiele ciekawych spostrzeżeń i refleksji. Chociażby ta, która mówi o tym, że wiele rzeczy w historii dzieje się dzięki... przypadkowi. Autor twierdzi, że swoją karierę i fakt związania się z „Solidarnością” zawdzięcza złodziejowi, który ukradł mu paszport, a tym samym uniemożliwił wyjechanie na zagraniczną wyprawę rowerową. Dzięki takiemu zbiegowi okoliczności powrócił do Bydgoszczy, zaczął się strajki, a on przyłączył się do nich i... został prominentnym działaczem „Solidarności”.

W książce pisze o tym następująco:

Kiedy opowiadam, że to dzięki złodziejom wkroczyłem w życie publiczne i polityczne, budzę zdziwienie i niedowierzanie. Ale to nie wymyślony żart, tak było naprawdę. Pod koniec lata 1980 r. nie zamierzałem rewolucyjnie zdobywać świata, miałem skromniejsze plany. Chciałem pokonać Europę... na rowerze. Wraz z grupą studentów z Politechniki Częstochowskiej, którym pomogłem zdobyć promocyjne rowery, zamierzałem wybrać się samolotem do Aten, a stamtąd przez Sofię już rowerami do Polski. Paszport otrzymałem krótko przed wylotem. Trzeba było jeszcze zdobyć grecką wizę. Zostawiłem w ambasadzie greckiej paszport, miałem go odebrać następnego dnia. Postanowiłem zrobić to kilka dni później, w przeddzień odlotu, by oszczędzić sobie jeden wyjazd do Warszawy.

Z całym turystycznym ekwipunkiem zjawiłem się przed grecką willą na Żoliborzu. Paszporty wydawano przez bramę wjazdową. Wyczytywano nazwisko, należało podać imię i datę urodzenia, żeby mieć paszport z wizą w rękę. Mojego nazwiska nie wyczytano, podobnie jak czterech innych. Nasze paszporty zostały odebrane przez sprytnych polskich złodziejasków, którzy w poprzednie dni pomagali greckim urzędnikom przerzucać dokumenty przez bramę. Łatwo mogli podejrzeć imię i datę urodzenia i podszyć się pod nas.

Smutny i przygnębiony wracałem do Bydgoszczy dzięki uprzejmości kierownika pociągu w pocztowym wagonie. Ciemna noc i żadnych widoków. Tyle zmarnowanego czasu, załatwiania, niewykorzystanej kondycji zdobytej ciężkimi treningami. Byłem wtedy w stanie dwadzieścia razy z rzędu podjechać swoim stalowym rumakiem pod dwukilometrowe strome wzniesienie w bydgoskim Myślęcinku. Miałem zdobywać szczyty południowej Europy, a nawet ich nie zobaczyłem. Widziałem jedynie odlatujący beze mnie samolot. Nie mogłem spodziewać się w tym smutnym odwrocie, że za niespełna miesiąc tym samym rowerem wyruszę po inne zdobycze (s. 23).

Antoni Tokarczuk wcielił się w rolę przewodnika po swoim życiu, ale zarazem po czasach, w których przyszło mu żyć. Nie „lukruje” on jednak rzeczywistości, tylko pisze tak, jak było. Jeśli jakieś rzeczy były niezbyt chwalebne, to pisze o tym wprost, również w odniesieniu do siebie. Takie podejście nadaje książce większej

wiarygodności. Weźmy na przykład opowieść o tym, jak to „Solidarność” borykała się z permanentnym brakiem papieru. Co z tego, że miała własny sprzęt poligraficzny, przeszkolonych ludzi oraz redaktorów piszących teksty, skoro nie było materiału, na którym można wydawać własne gazetki i ulotki? Gdy po długich walkach udało się wreszcie uzyskać u wojewody przydział tony papieru, działacze „Solidarności” popadli w ostupienie, bo pod ich siedzibę podjechała ciężarówka z dziesięcioma tonami cennego towaru. Okazało się, że jeden z działaczy nie przejmując się niczym... dopisał na zleceniu jedno zero. W ten oto sposób „Solidarność” przez dłuższy czas mogła wydawać swoje pisma, psując krew dygnitarzom z PZPR (s. 30-31).

O tym, że autor jest szczery i autentyczny w swoich opowieściach świadczy również to, że nie skrywa on za nimbem milczenia niewygodnych dla siebie czy dla „Solidarności” faktów czy wydarzeń. Wprost pisze o różnego rodzaju ułomnościach czy też konfliktach trawiących związek, czy to w okresie jego legalnej działalności, czy też tej tajnej prowadzonej już po 13 grudnia 1981 r. Szczególnie ciekawe są w tym zakresie informacje na temat konfliktu jaki praktycznie od 1981 r. istnieje pomiędzy autorem a Janem Rulewskim, pierwszym przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Regionu Bydgoskiego, a po 1989 r. znanym politykiem i parlamentarzystą. Co jednak godne podkreślenia, informacje na ten temat podawane są bez żadnych złośliwości czy też przeinaczeń. Autor wychodzi jedynie z założenia, że skoro one istniały to trzeba o nich napisać.

Na łamach książki odnajdziemy również wiele innych ciekawych informacji zarówno na temat życia autora, jak i kulis powstawania i późniejszego funkcjonowania „Solidarności”. Dowiemy się, jaki przebieg miały strajki w sierpniu 1980 r., jak kształtowały się władze związkowe, w jaki sposób władze przeszkadzały w normalnym funkcjonowaniu legalnie działającego związku zawodowego, jak bezpieka nasytała swoją agenturę w celu zdobycia informacji o kulisach działań prowadzonych przez „Solidarność”. Wiele miejsca Tokarczuk poświęcił kluczowemu wydarzeniu w dziejach legalnej „Solidarności” bydgoskiej, czyli tzw. kryzysowi bydgoskiemu z marca 1981 r. Na fali pobicia działaczy związkowych po zerwanych obradach Wojewódzkiej Rady Narodowej kraj stanął na krawędzi strajku generalnego, a Bydgoszcz znalazła się na ustach praktycznie całego świata. Autor odsłania kulisy tych wydarzeń i dostarcza wielu ciekawych spostrzeżeń na temat tego co wówczas miało miejsce.

W książce mamy również wiele informacji na temat realiów stanu wojennego. Autor był internowany i doświadczył wielu represji. Z jego opisu wyłania się ponury obraz podtych zachowań przedstawicieli obozu ówczesnej władzy. Opisując pierwsze chwile po internowaniu Tokarczuk podaje:

W pewnym momencie postanowiono sprawdzić naszą odporność na stres. Ustawiono nas co kilka metrów pod ścianą, przedzielając młodymi milicjantami i uniemożliwiając jakikolwiek kontakt między nami. Kilku funkcjonariuszy zaczę-

to biegać przed nami i wymachiwać karabinami obudowanymi w jakieś nieznanie mi urządzenia. Oczekiwałem najgorszego – wyglądało to jednoznacznie na przygotowanie do rozstrzelania. Szeptem zaklinałem młodziutkiego szeregowca, by powiadomił o wszystkim moją żonę. Wyglądał na przerażonego, ale powtarzał moje nazwisko i przysięgał to zrobić. Po kilku czy kilkunastu minutach zabawę zakończono, a do sali zaczęto wprowadzać następnych internowanych (s. 162).

Takich i innych opisów ukazujących rzeczywistość w ośrodkach dla internowanych jest w książce sporo. Dużo jest też informacji o działalności prowadzonej w Bydgoszczy po odzyskaniu wolności. Pomimo bowiem represji fizycznych i psychicznych stosowanych przez komunistów autor, jak również wiele innych opisywanych przez niego osób, nie poddali się, trwali w oporze i organizowali różnego rodzaju mniej lub bardziej rozbudowane struktury. Dzięki ich działaniom możliwe były przemiany w kraju rozpoczęte w 1989 roku.

Co jednak warte podkreślenia, książka nie kończy się wraz z symbolicznym upadkiem w Polsce komunizmu. Autor kontynuuje swoją opowieść i pokazuje też jak przebiegała transformacja ustrojowa, z jakimi problemami musiano się wówczas borykać, ale również jak wyglądały kulisy funkcjonowania dawnych opozycjonistów, którzy po zmianie ustroju obejmowali różnego rodzaju urzędy oraz pełnili ważne i odpowiedzialne funkcje. Sam Tokarczuk został początkowo senatorem. Będąc nim zasiadał m.in. w tzw. komisji weryfikacyjnej, która zajmowała się oceną działalności funkcjonariuszy SB w czasach minionych i ich przydatności do pracy w powstającym właśnie Urzędzie Ochrony Państwa. Sporo miejsca autor poświęcił również różnego rodzaju grupom przestępczym działającym pręźnie w Bydgoszczy w pierwszych latach III Rzeczypospolitej (Tokarczuk nazywa je „bydgoską ośmiornicą”). Na koniec wreszcie ze szczegółami opisuje kulisy działania rządu Jerzego Buzka i swój w nim udział, gdyż pełnił w nim odpowiedzialną funkcję ministra środowiska.

Książka napisana została ze swadą, pełno w niej anegdot i humoresek, które z czasem mogą wejść do obiegu jako przykłady tego, jak o historii pisać w sposób lekki i przystępny. Co godne zaznaczenia, całość nakreślona została lekko i przystępnie, a jednocześnie bardzo poprawnym literacko językiem. W efekcie otrzymaliśmy opowieść, po którą chętnie sięgną nie tylko osoby opisywane w książce oraz historycy, ale również „zwykli” czytelnicy, ciekawi tego, w jaki sposób opisany został region bydgoski oraz osoby kształtujące jego historię.

Nie będę tutaj przytaczać wszystkich kwestii opisanych przez autora na łamach *Flirtów z historią*, aby nie niweczyć Państwu przyjemności z odkrywania ich podczas lektury tej niewątpliwie ciekawej i potrzebnej publikacji. Mam również nadzieję, że w niedługim czasie w ślady Tokarczuka pójda inne osoby z Bydgoszczy i regionu, które również zechcą uwiecznić swoje flirty z historią.